

Do licznych wspomnień Polaków wywiezionych do ZSRR pragnę dodać swoje wspomnienia, aby wzbogacić wojenną literaturę. Przed wojną mieszkaliśmy w miejscowości Sokoliki Górskie powiat Turka nad Stryjem woj. lwowskie, blisko granicy czeskosłowackiej. Mamusia z zawodu była nauczycielką. Pracowała w Szkole Powszechnej Polsko-Ukraińskiej gdzie była nauczycielką. Tatuś pracował w policji, ale już od kilku lat był na emeryturze. Zajmował się domem, ogrodem i pszczołami, gdyż ukończył szkołę rolniczą. Przebywała u nas w tym czasie moja kuzynka Ola Lisecka, z którą po wakacjach miałyśmy dojeżdżać do gimnazjum w Turce u/str. Wybuch wojny w 1939 r. przeszkodził tym planom. Wojna zburzyła nasze spokojne życie. Dwóch wrogów podało sobie ręce, aby dokonać czwartego rozbioru Polski. Zanim to się stało nastąpił okres "bezkrólewia". Mieszkańcami wsi byli głównie Ukraińcy. Dotychczas spokojni, teraz zbierali się aby na nas napaść. Przeżyliśmy wtedy trudne chwile.

Wreszcie zjawiła się władza sowiecka. Zgodnie z ich zarządzeniem Mamusia rozpoczęła pracę w szkole. Wkrótce zaczęły się donosy Ukraińców na Tatusia. W połowie stycznia aresztowano Ojca pod pretekstem posiadania broni, której dawno się pozbył, a rewizja nic nie wykazała. Przyczynił się do tego i pomagał władzom Ukrainiec Tymko Tyroła. Osadzono Tatusia w więzieniu w Turce. Mamusia parę razy jeździła a czasem szła pieszo 18 km, aby coś podać, ale nie widziała się z Ojcem, dopiero po 3-ch miesiącach na rozprawie, kiedy to na podstawie kłamliwych, krętownych zeznań świadków-Ukraińców skazano Ojca na 6 lat pracy w łagrach.

Mamusia wróciła załamana i chora ale nie mogła leżeć. Musiałyśmy się pakować, ponieważ przyszedł nakaz przesiedlenia wszystkich mieszkańców wioski na Wołyń. Chodziło o oczyszczenie terenów przygranicznych nad Sanem. Spakowane, czekałyśmy na wyjazd. W lutym 1940 r. doszły do nas wiadomości o wywiezieniu rodziny Tymka Tyroła, tego, który wydał Tatusia. Wywieziono go wraz z żoną i małym dzieckiem za to, że przed wojną pracował jako gajowy w lasach. Nie wiedziałyśmy wówczas, że były to masowe wywózki. Miało to miejsce 10 lutego, w najgorsze mrozy i śniegi. Wkrótce i nas miało to spotkać.

Dnia 13 kwietnia 1940 r. zajechała pod szkołę furmanka a z niej wysiadł NKW-dzista i polecił pakować się i wsiadać do furmanki. Można było zabrać ze sobą trzy bagaże. Nie było to

trudne, bo byliśmy już spakowane. Wzięliśmy żywność, pościel i kufer z odzieżą i bielizną i ruszyliśmy w drogę. Po kilku godzinach jazdy, z krótkim postojem w Turce, dojechaliśmy do stacji Wołosianka, gdzie stał już na torach długi pociąg towarowy złożony z kilkunastu wagonów. W pośpiechu zaniesiono nasze bagaże do ostatniego z nich, wsadzono jako ostatnich i zaryglowano za nami drzwi. W wagonie znalazłyśmy się wśród innych rodzin wojskowych, policjantów i urzędników z Turki i okolicznych miejscowości. Wkrótce pociąg ruszył.

Jechaliśmy przez Chyrów i Sambor do Przemyśla, gdzie nas przeładowano do pociągów szerokotorowych, z 2-ch wagonów do jednego. Było nas tu 52 osoby. Zajęliśmy miejsce na górnej półce, przy okienku zakratowanym. Jechaliśmy dalej z krótkim postojem we Lwowie o godz. 13 w nocy. 17.IV. przekroczyliśmy granicę i wjechali na tereny ZSRR puste, szare, nędzne, b/słabo zaludnione. Kilka razy nas wypuszczano, po większych stacjach, gdzie dostałyśmy po wiadrze gorącej wody, kaszę lub zupę i chleb. Ludność zachowywała się różnie. Jedni wygrażali, inni prosili o chleb. Po 2 tygodniach takiej jazdy przekroczyliśmy Ural i wjechali na tereny Kazachstanu. Tu wnet wyładowano nas w powiatowym miasteczku Martuk i umieszczono w drewnianym baraku po koniach, gdzie natychmiast obsiadły nas pchły. W trudnych warunkach, na bagażach czekałyśmy kilka dni na podstawienie samochodów i dalszą jazdę. Wreszcie zjawiły się oczekiwane samochody i zaczęto nas rozwozić do różnych kołchozów. W naszym kierunku jechały trzy samochody. Minęliśmy "szachty" czyli bardzo prymitywną "kopalnię" węgla, potem ubogą wieś Jechrymówkę, gdzie wyładowano panią Hercogową z 10-rgiem dzieci. Naszym miejscem docelowym był kołchoz Stepanówka, 26 km od powiatowego Martuka. Tu wyładowano kilka rodzin: p.Jaryczewskich, Dutkiewiczów, Dziejowską, Bałazową, Stępniewiczów, dwie bratowe Gieruszowe z dziećmi, Końską i Brenesa. Na miejscu przedstawiciel władz powitał nas, a mieszkańcy przypatrywali się milcząco z ciekawością, jedni nieufnie, inni żeby zaoferować nam swoje kwatery. W ten sposób znalazłyśmy się wraz z p.Jaryczewskimi u gospodarza Prokoszki, który zaoferował nam jeden pokój. Było nas 8 osób. Jak się okazało, był to wielki wróg Polaków, a przyjął nas chyba dla korzyści i aby mieć siłę roboczą. Rzeczywiście stworzył z nas jedną polską "brygadę" i wkrótce zaczął wywozić furmanką na step do pracy.

W maju, mimo chłodnych wiatrów, sadyliłyśmy lub uzupełniały leśne pasy, trwałyśmy susły, plewiły ciężkimi motykami pszenicę. W czerwcu przygotowywałyśmy miejsca pod ziarno, które w czasie żniw zwożono od kombajnów na te oczyszczone czy wypalone "toki". Tam młynkowałyśmy ziarno aby oczyścić z plewy, często nocą, bo pracowało się na dwie zmiany. Później same zwoziłyśmy ziarno końmi od kombajna na tok, a wieczór do kołchozu. Trzeba też było samej zaprząć i napoić konie. W latach późniejszych pracowałyśmy wołami, bronowały, orały. Zwierzęta te pracowały na dwie zmiany, toteż przemęczone i głodne kładły się i trudno ich było zmusić do pracy. Ile wtedy nasłuchiwałyśmy się przekleństw od "bryhadira"! W dalszej kolejności plewiłyśmy ręcznie i żęły sierpami proso. Ruskie unikały tej pracy bo była ciężka i mało płatna. Najcięższą pracą było młócenie kombajnem zboża pozostawionego w stertach. Ruskie nakładały widłami zboże do bunkra, a my odsuwałyśmy z tyłu plewę która zasypywała nam oczy, twarze, wdzierała się pod ubranie. A trzeba było to robić szybko, sprawnie, aby nas całkiem nie zasypało i układać w stertę. To też z radością witałyśmy każdą przerwę w pracy czy awarię by móc trochę wypocząć i oczyścić się z plewy.

Początkowo wywożono nas w obie strony, potem w jedną, wreszcie musiałyśmy chodzić w obie strony, i cały dzień na polu. Czasem nawet wody nie dostarczono, a upały były wielkie. W czasie południowej przerwy nie było gdzie schronić głowy przed upałem. Po tygodniu takiej pracy chciałyśmy i potrzebowały niedzielnego odpoczynku, co było nie mile widziane, zwłaszcza w czasie żniw. Mamusia było często wzywana do władz, gdzie dzielnie wstawiała się za nami i broniła, tak że w końcu dali nam spokój. Niedziele poświęcałyśmy na odpoczynek i spotykały się na wspólnej modlitwie. Jesienią następowała wypłata za tzw. trududni, w zbożu, prosie, a częściowo w pieniądzech. Wysokość wypłaty zależała od urodzaju i planu. W pierwszym rzędzie kołchoz musiał oddać państwu obowiązkową dostawę, tzw. plan, a to co zostało rozdzielano między pracowników. W I roku dostałyśmy po 3 kg, tj. połowę tego co ruscy. Dopiero po różnych staraniach z naszej strony w Martuku wypłacono drugą połowę. W II roku wypłacano po 2 kg, a w III po 30 dkg. Prócz zboża które mieliłyśmy w młynie, nic więcej nie miałyśmy. Mieniałyśmy różne rzeczy na mleko i masło, co nie zawsze się udawało. Dużą pomocą były dla nas przysyłane z kraju paczki, a w nich cukier, tłuszcz, herbata. Czasem dostawałyśmy pieniądze

którymi płaciliśmy za mieszkanie staruszkom z Ukrainy u których mieszkaliśmy. Za herbatę i cukier mieniałyśmy opał u Kazachów, nawóz wysuszony i gałęzie "czylihy". Miałyśmy też trochę słomy. To wszystko było mało wobec ostrej, długiej zimy, która trwała pół roku. Dawały się we znaki silne wiatry, które zasypywały drogi i domy wraz z drzwiami i oknami. Nie wychodziłyśmy zimą do pracy bo nie miałyśmy odpowiedniego ubrania. Ale i w mieszkaniu bardzo marzłyśmy, bo opał wystarczał tylko na ugotowanie jednej stawy dziennie, o ogrzaniu pieca nie było mowy. Ubranie przymarzało do ściany, woda zamarzała, a siennik pod nami zgnił. Nabawiłam się wtedy wietrznej ospy. Temperatura spadała poniżej 0°, w najlepszym razie koło 0°. W kuchni było nieco cieplej i tam siedziałyśmy. Wiosna nadchodziła nagle, ogromne masy śniegu szybko topniały i można było zapaść się po pas w wodzie. Trzeba było odgarnywać śnieg od dachu i ścian lepianki aby nie rozmokła i nie zawaliła się.

W 1941 r. w czerwcu doszła do nas wiadomość o wybuchu wojny z Niemcami. Natychmiast zmienił się stosunek ruskich do nas. Podejrzewano nas o sprzyjanie Niemcom. Poza pracą nie wolno było nam się spotykać, bo to wywoływało podejrzenia. Nasze kontakty z krajem urwały się. Przestały nadchodzić listy i paczki i trzeba było jakoś sobie radzić, a było b. trudno kupić coś czy wymienić. Gospodarka załamała się. Cały potencjał ludzki i przemysłowy został skierowany na front, mężczyźni musieli zastąpić kobiety, zabrakło koni i pojazdów. Natomiast zaczęła napływać ludność ewakuowana: Niemcy z Ukrainy, Besarabcy, Czeczeńcy, wreszcie wojskowi na wypoczynek i rekonwalescencję. Nasza sytuacja uległa pewnej zmianie gdy doszło do porozumienia między emigracyjnym Rządem Polskim a Stalinem w 1942 r. w wyniku którego miała zostać stworzona Armia Polska pod dowództwem Gen. Andersa. Z różnych stron ZSRR zdążali Polacy na południe, gdzie pod Taszkientem w Jang-Julu wcielono ich do wojska. Jechały nawet całe rodziny, a wszyscy wyniszczeni, obdarci, głodni. Nic dziwnego że z powodu wyniszczenia i zmiany klimatu padali tam ofiarą różnych chorób, zwłaszcza tyfusu. Z naszego kołchozu wyjechali wtedy: Stanisław Stempniewicz, Zdzisław Jaryczewski i Antoni Dutkiewicz. Po jakimś czasie nadeszła wiadomość o wyprowadzeniu wojska do Iranu. I znowu stosunek do nas zmienił się na gorsze. A przecież odbyło się to za zgodą Stalina, który wolał pozbyć się niepewnego elementu.

Dochodziły do nas też różne inne ciekawe pogłoski np. o zatopieniu na morzu północnym wielkiej ilości Polaków. Kojarzy się to teraz z 7 tysiącami zaginionych bez wieści w katyniu. O tym, co się działo w Polsce nic nie wiedziałyśmy. Żyłyśmy wiadomościami z frontu i dniem bieżącym, a ten przynosił stale nowe wydarzenia. Nadeszła wiadomość, że maharadża indyjski pragnie zaopiekować się dziećmi polskimi do lat 16-tu, z terenu ZSRR, i zabrać je do Indii. Miało nas jechać trzy: ja, Zosia Dziejowska i Marysia Stempniewicz. Zanim jednak doszło do nas oficjalne zawiadomienie, wyjazdy odwołano. Ucieszyłam się z tego, bo nie chciałam rozstawać się z Mamusią i Olą, czułam, że powinnyśmy trzymać się razem. Jednak sporo dzieci wtedy wyjechało i dostało się do Indii. Opisuje o tym Jerzy Krzysztoń w książkach: "Krzyż Południa" i "Opowieści Indyjskie".

Śmierć zbierało żniwo nie tylko na południu Kazachstanu, ale i w kołchozie. Pierwsza zmarła na tyfus pani Jaryczewska. Następnie śliczna 10-letnia Zosia Dziejowska na zapalenie opon mózgowych, ku wielkiej rozpaczycy matki pani Haliny Dziejowskiej. Również zmarła pani Olimpia Dutkiewicz, wkońcu p. Monika Szczepaniakowa z Rozłucza, rodem poznanianka, z którą razem mieszkaliśmy u staruszków.

Po ewakuacji wojska polskiego i ludności cywilnej do Iranu, stosunki między Rządem Polskim a ZSRR zostały zerwane, zlikwidowano polskie delegatury które niosły pomoc Polakom, pozbawiono obywateli polskich przysługujących im praw. Odbierano i unieważniano zaświadczenia o obywatelstwie polskim i zmuszano groźbami i represjami do przyjmowania dokumentów sowieckich. Polacy obawiając się że stracą możliwość powrotu do kraju woleli pójść masowo do więzień. Zapełniły się więzienia w Martuku i Aktiubińsku. Znalazła się między nami Ola i inne panie z naszego i sąsiednich kołchozów. W końcu wydano tymczasowe paszporty i wypuszczono na wolność. Zatrzymano tylko pana sędziego Andruszkiewicza - jako przywódcę oporu - który wkrótce zmarł w więzieniu czy szpitalu.

W tym czasie w ZSRR działał już prokomunistyczny Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele. Doszło do stworzenia Armii Polskiej tzw. Kościuszkowskiej, która miała walczyć z Niemcami u boku armii sowieckiej, a często walczyła na czele np. pod Lenino.

Tak minęło nam 3 lata w kołchozie długich, trudnych, pełnych niepokoju. Wciąż byłyśmy niepewne przyszłości. Za byłe nieposłuszeństwo grożono Oli wysłaniem na "głodny step" do budowy kolei. Wolałyśmy nie czekać na wprowadzenie groźby w czyn, i postanowiłyśmy wcześniej zniknąć z oczu. Z wiosną 1943 r. bez opowiadania się władzom wyjechałyśmy do Martuka, gdzie rozpoczął się dla nas nowy rozdział życia.

### W Martuku

Miasto było przepełnione i nie łatwo było znaleźć pracę i mieszkanie. W końcu zamieszkałyśmy u samotnej kobiety której mąż walczył na froncie. Wydzieliła nam jedno łóżko w kuchni o pow.  $8m^2$ , przechodnej,  $\frac{1}{2}$  m od paleniska, za 300 rubli miesięcznie. Pracę dostałyśmy w arteli, gdzie pracowało więcej Polek przy skubaniu i przędzeniu wełny. My robiłyśmy swetry. Kierowniczką była polska Żydówka pani Róża Lewental. Dostałyśmy kartki na chleb po 0,5 kg, jednak krótka była radość, bo nie było pokrycia na te kartki, a jeżeli nawet przywieźli czasem to gliniasty, czarny, że nie dało się jeść. Zresztą nie miałyśmy czasu na wystawanie cały dzień w kolejce, bo trzeba było wyrabiać normę. Dlatego wolałyśmy nie brać chleba, a otrzymywać za te kartki pod koniec miesiąca ziarno jęczmienia które mieliłyśmy na młynku aby następnie ugotować kaszę czy zupę.

Do "arteli" przychodziło zapotrzebowanie na pracowników do różnych prac polowych. Wysłano nas jako najmłodszych. Tak więc jeździłyśmy do kopania rowów nawadniających tzw. "aryków" nad rzeką Ilieck. Tam wyznaczano normę, którą z trudnością wyrabiałyśmy kopiąc łopatami w twardym gruncie, i wracałyśmy jedne z ostatnich do domu.

Innym razem wysłano mnie do pracy przy młóceniu zboża kombajnem w pobliskim kołchozie. Znając tą pracę dawałam sobie radę. W południe zarządzono przerwę na posiłek. Jadło się z jednej miski drewnianymi łyżkami, po czym znowu praca do wieczora. Po powrocie do domu udałam się na spoczynek, a na drugi dzień już nie mogłam wstać. Wystąpiła wysoka gorączka, a wezwany lekarz natychmiast skierował mnie do szpitala, mieszkanie zdezynfekowano. W szpitalu okazało się, że to tylko tyfus brzuszny. Gdy poczułam się lepiej i zaczęłam wstawać, wywiązały się skrzepy w nodze. Noga cała opuchła i znowu wystąpiła

wysoka gorączka. Zastosowano prosty a skuteczny sposób: owinięto mnie zimnym, mokrym prześcieradłem. Od tego czasu następowała powolna poprawa. Aby mnie trochę wzmocnić, Mamusia sprzedała piękny angielski kostium, kupiła kilka jabłek i kilka kostek cukru od przyjezdnych z południa, gotowała kompot i przynosiła do szpitala. Po 3-ch m-cach pobytu w szpitalu mogłam wrócić, a raczej przyjechać do domu.

Dalszych widoków na pobyt w Martuku nie było. Groził głód, nadchodziła zima, nie było czym płacić za mieszkanie. W tym czasie odwiedziła nas pani Hawrotowa, znajoma z kołchozu i zachęciła Olę do wyjazdu do Żyłgorodka k. Aktiubińska gdzie sama znalazła pracę. Ola wybrała się z nią, aby zbadać sytuację i rozejrzeć się za pracą. Rzeczywiście została bez trudu zatrudniona w żłobku, gdzie dostawała gorący posiłek i kartki na chleb, który zawsze można było dostać w sklepie. Wkrótce Ola przyjechała po nas. Spakowałyśmy resztki rzeczy udały się na stację i w wypełnionej po brzegi poczekalni czekały na pociąg. Nie sprzedawano biletów, ani nie było rozkładu jazdy. Problemem było dostać się do pociągu, skoro już przyjechał. Udało się to nam, za plecami strażnika. W wagonie trzeba było tłumaczyć się i opłacić konduktora. Udało się nam pokonać te trudności i w ten sposób znalazłyśmy się na miejscu

#### **w Żyłgorodku k. Aktiubińska.**

Zamieszkałyśmy w hotelu robotniczym wśród ruskich dziewcząt, pracujących w pobliskim Kombinaście Metalurgicznym. Mamusia na miejscu dostała posadę pracę sprzątaczką którą musiała przyjąć z braku innych. Mnie komisja lekarska odrzuciła z powodu chorej nogi, nie miałam żadnych praw. Dzieliłam łóżko z Mamusią i dostawałam tylko 30 dkg chleba, zaś Mamusia 50 dkg za swoją ciężką pracę, trwającą całą dobę. Potem miała dwie doby wolne. Praca polegała na paleniu w piecach, sprzątaniu, noszeniu węgla i wody ze studni. Ola nadal pracowała w żłobku. Żeby nie być ciężarem, postarałam się o pracę w arteli w Aktiubińsku. Dostawałam większy przydział chleba, ale trudno było wyrobić normę jednego swetra tygodniowo. Wkrótce artel rozwiązano i postarałam się o pracę w Kombinaście jako pomocnik maszynisty, na 3 zmiany, często w nocy. Były to czasy głodu. Przydział chleba był za mały żeby żyć, a za duży żeby umrzeć. Toteż Mamusia wyciągała jeszcze nie sprzedane resztki i zaoszczędzone, zarobione pieniądze

i razem z panią Hawrotową udawały się teraz w odwrotną stronę, do kołchozu, aby je tam wymienić czy kupić mąkę, tłuszcz czy tytoń, który można było potem sprzedać. Często w drodze w pociągu bywały okradane z pieniędzy. Również na targu w Aktiubińsku nie sposób było uchronić się przed złodziejami. Wracało się wtedy z pustymi rękoma i wielkim żalem. Po jednej takiej podróży do kołchozu Mamusia wróciła ze zwichniętą nogą i na tej podstawie dostała lżejszą pracę stróża nocnego w magazynie z odzieżą. Podstawą pracy były kartki żywnościowe i przepustka do Kombinatów. Kto je zgubił, nie miał szans przeżycia. Zdarzyło się to jednej ruskiej która nie widząc wyjścia próbowała targnąć się na życie. Było to w dzień, niemal na oczach wszystkich, to też zaraz ją odratowano. Rano już jej nie było. Wyszła w nocy i ślad po niej zaginął. Były to czasy głodu, kiedy nie było czym się dzielić. Same jadłyśmy makuchy przeznaczone dla zwierząt, a gdy ich nie było, tzw. "pył"- gorzkie odsiewki z podłego ziarna zagotowane na wodzie, które chwilowo zaspokajały głód, ale niszczyły żołądek i nie wszyscy mogli to jeść. Ruskie dziewczęta pracujące w Kombinacie miały większy przydział chleba i jakoś tam sobie radziły, lepiej od nas. Po pewnym czasie przeniesiono nas do innego budynku, zamieszkałego w większości przez Polki. Kilka z nich pracowało w ogrodach. Wychodziły rano a wracały późno wieczór, i chodziły b. daleko. Żyłyśmy się też z panią Hawrotową która zmiatała ulice, i z panią J. Szuchniewicz zatrudnioną w charakterze sprzątaczk, także z p. Franiową z córką Bronią. Istną plagą w tym budynku były pluskwy, na które nie było sposobu. Czym więcej się ich tępiło, tym bardziej się mnożyły. Kapały z sufitu wprost na nasze łóżka. Latem wychodziłyśmy spać do pobliskiego "lasku". Jesienią zostałam wysłana z pracy na ogrody do plewienia ziemniaków. Znowu wyznaczano nam normę tj. wymierzano pewien odcinek który należało wykonać. Wcześniej nie można było opuścić stanowiska. I tak trwało to 5 dni. Spałyśmy w drewnianej budce na pryzkach, w ubraaniu, byłyśmy przemarznięte i głodne. Z radością wróciłam do domu.

Żyłgorodek, czyli osiedle mieszkaniowe był budowany przez jeńców niemieckich. Przbywało budynków, tak że przed zimą mogłyśmy zamieszkać we trzy we "własnym", samodzielnym mieszkaniu. Był to jeden pokój który służył za sypialnię, kuchnię i skład na węgiel. Inne panie, polki, dostały we cztery jeden duży pokój. Zaprzyjaźniłyśmy się wtedy z Krystyną Pakulis, która to przyjaźń



trwa do dziś. Mimo poprawy warunków mieszkaniowych trapiły nas różne choroby z powodu wycieńczenia i braku witamin. Ola dostała szkorbut i wrzody, pani Hawrotowa malarię. Mnie trapił kaszel. W późniejszym czasie uruchomiono pracowniczą stołówkę, gdzie w zamian za kartki żywnościowe można było dostać marne obiady. Dla kierownictwa były oddzielne sklepy i stołaki gdzie niczego nie brakowało. Zwykłym śmiertelnikom wstęp tam był surowo wzbroniony.

W tym czasie Armia Czerwona odnosiła sukcesy na froncie, co zapowiadało pomyślne zakończenie wojny. My również z uwagą śledziłyśmy bieg wypadków, bo od tego zależał nasz powrót do kraju. Coraz częściej mówiło się o powrocie i czekałyśmy na oficjalne zawiadomienie. Gdy wreszcie nadeszło, radości nie było końca. Wówczas z całą satysfakcją udałam się do kadr, wniosłam prośbę o zwolnienie i zaświadczenie pracy. Ola rozwiązała się ze żłobkiem, a Mamusia z łaźnią, gdzie ostatnio była kasjerką. Dostałyśmy na drogę suchary, chleb i konserwy. Najszczęśliwszą chwilą było, gdy znalazłyśmy się w wagonie i gdy po 2 dniach uzupełniania składu, pociąg ruszył.

Było to 7 kwietnia 1946 roku. W jakże innym nastroju przebiegała ta podróż. Już nas nie pilnowano, na każdej stacji można było wysiąść, pochodzić. Jechałyśmy przez ziemie zniszczone wojną, jednak największe spustoszenia stwierdziłyśmy na ziemiach polskich, na Wołyniu.

13 kwietnia 1946 r. znalazłyśmy się we Lwowie. Była to 6-ta rocznica naszej wywózki. Ponieważ była to Niedziela Palmowa, udałyśmy się do Katedry na Mszę Św., aby podziękować Panu Bogu za opiekę, przetrwanie i szczęśliwy powrót do kraju. Wyróżniałyśmy się wśród ludzi w swoich kufajkach i wywoływały zaciekawienie. W Przemyślu, gdzie spodziewałyśmy się przynajmniej jakiegoś zainteresowania, pytano nas: "czy macie ruble?" W Łańcucie pożegnałyśmy Olę która wysiadła aby udać się do swojej rodziny w Witkowie pow. Sokal, a w Krakowie Krzysię która miała jechać do Gdyni. My jechałyśmy dalej, ciekawe gdzie nas zawiozą. W same Świąta Wielkanocne 20 kwietnia zajechałyśmy do Kłodzka, naszej stacji docelowej. Po świątach zgłosiłyśmy się do Państw. Urzędu Repatriacyjnego po dalsze wskazówki, i odnalazłyśmy znajomych p.p.Bródków które wróciły wcześniej i teraz wyszukały dla nas mieszkanie.

Mamusia rozpoczęła poszukiwania Ojca, który jak nam było wiadomo, przebywał w łagrach w Workucie. Z Polskiego Czerwonego Krzyża w W-wie nadeszła wiadomość, na podstawie pisma Radzieckiego Czerwonego Krzyża z dn.28.V.1958 - że Ojciec, Władysław Stefan zmarł 10.I.1941 r. w obozie na terenie ZSRR, nr listy strat 22806.

Maria Stefan  
Oś.3-Maja 8/15  
37-100 Łańcut

Łańcut, dnia <sup>22</sup>..... marca 1995 r.

Nr leg.Zw.Sybiraków o/Rzeszów 4965